



Odwrócimy politykę „zidiocenia”

Z Alesiem Michalewiczem, białoruskim politykiem, rozmawia Tomasz Kułakowski

TOMASZ KUŁAKOWSKI: Nie wytrzymałeś długo w Unii Europejskiej. Po uzyskaniu azylu politycznego w Czechach w połowie marca i pobycie w Polsce wracasz na Białoruś. Do kraju, w którym funkcjonariusze KGB torturami zmusili Cię do współpracy, o czym później poinformowałeś na konferencji prasowej w Mińsku. Bałeś się zemsty służb, więc uciekłeś. Dlaczego wracasz?

ALEŚ MICHALEWICZ: Oczywiście, boję się, że mogę trafić do aresztu domowego lub więzienia, ale dłuższa emigracja oznacza polityczną śmierć. Muszę być i będę na Białorusi. Za granicą można wiele zrobić na rzecz swojego kraju, ale to nie będzie miało sensu bez budowania struktur na Białorusi, pozyskiwania współpracowników wśród ludzi niezadowolonych z rządów Aleksandra Łukaszenki. A tych – ze względu na fatalny stan gospodarki i rosnącą frustrację społeczną – jest coraz więcej.

Ważna jest także rodzina. Moja żona z dwiema córkami nie może do mnie przyjechać, bo musi opiekować się babcią i rodzicami. Spotykam się z bliskimi, ale zawsze lepiej, gdy jest się na miejscu.

Dlaczego pojechałeś do Pragi, a nie do Warszawy lub Wilna – głównych miast białoruskiej emigracji politycznej?

Polskie i niemieckie służby specjalne były oskarżane przez Łukaszenkę o zorganizowanie masowych demonstracji w noc powyborczą z 19 na 20 grudnia 2010 roku. Przyjazd do Polski byłby potwierdzeniem, że Warszawa faktycznie wtrącała się w sytuację wewnętrzną Białorusi. Nie chciałem dolewać oliwy do ognia.

Jednak ważniejszym argumentem była sprawna praca czeskich dyplomatów. Gdy trafiłem do Kijowa, zwróciłem się do znajomych z czeskiej ambasady i następnego dnia byłem w Pradze.

Zebrałeś doświadczenia w Europie Środkowej, by wrócić z ambitnym programem reform.

Nie tylko programem, ale przede wszystkim gotowymi projektami ustaw, które częściowo powstały w Polsce. Wejdą one w życie najszybciej jak to możliwe, czyli po odsunięciu od władzy prezydenta.

Łukaszenka zgodził się na niektóre postulaty, na przykład podatek liniowy PIT,

który wynosi 12 procent. Jednak prezydent nigdy nie zreformuje służb specjalnych, resortu spraw wewnętrznych i samorządu terytorialnego. To zburzyłoby fundamenty reżimu, który stworzył.

Modernizacja gospodarcza jest jednak najważniejsza. Niektórzy ekonomiści wieszczą bankructwo, w co jednak trudno uwierzyć, znając przebiegłość Łukaszenki. Co zrobiłbyś w pierwszej kolejności, by uzdrowić gospodarkę swojego kraju?

Największym problemem Białorusi jest brak wolnego rynku. Łukaszenka nigdy w niego nie wierzył, inwestował w największe przedsiębiorstwa państwowe. Gdy okazało się, że te molochy są niewydolne, na rynku zapanowała pustka. Mimo to Łukaszenka niczego nie zmieni, ponieważ nie wierzy, że mogłoby to przynieść efekt.

Musimy zacząć od reform wolnorynkowych, tworzenia małych i średnich przedsiębiorstw, uniezależniania banku centralnego od władzy, stabilizowania waluty, rozpoczęcia prywatyzacji i otwarcia rynku na kapitał zagraniczny. Należy też oddać ziemię w ręce prywatne, by ludzie mogli siał i sadzić „na swoim”.

Można by długo wymieniać... Jesteś samorządowcem, pracowałeś w lokalnych strukturach pod Mińskiem, stąd jednym z twoich postulatów jest reforma terytorialno-administracyjna: przekazanie władzy w białoruskie regiony i pozostawienie w nich więcej pieniędzy z podatków.

Reforma ta będzie jednym z najważniejszych i największych wyzwań. Dawno temu Stalin wziął mapę Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej do rąk i wyznaczył na niej sześć obwodów. Ten podział obowiązuje do dziś i nie muszę chyba mówić, że nie odpowiada on rzeczywistości.

Poza tym, gubernatorowie obwodów i merowie miast są mianowani przez Łukaszenkę. Potrzebujemy wolnych wyborów do samorządów i decentralizacji władzy. Samorządowi urzędnicy Łukaszenki to kompetentni ludzie, którzy świetnie rozumieją lokalne problemy. Boją się jednak je rozwiązywać, bowiem odpowiadają przed reżimem, a nie ludźmi z tej samej wspólnoty. Urzędnicy nie podejmą żadnej decyzji, która wiąże się z ryzykiem. „Jeśli nie masz wpadek, to do emerytury dopracujesz, jak się pomylisz, wypadniesz poza system” – takie myślenie pokutuje. Na Łukaszenkowskiej Białorusi jedyną gwarancją stabilnej pracy jest realizacja narzuconych odgórnie decyzji, czegokolwiek by one dotyczyły.

Samorząd to kropla w morzu potrzeb. Spójrzmy na przykład na służby mundurowe. Trzeba nie tylko ograniczyć liczbę milicjantów, funkcjonariuszy wojsk wewnętrznych i służb specjalnych, ale sprawić, by milicja zajmowała się porządkiem publicznym, a nie aresztowaniem opozycjonistów czy rozpędzaniem pokojowych manifestacji.

Przed nami także trudne reformy służby zdrowia, funduszu emerytalnego, szkolnictwa. Musimy odwrócić politykę „zidiocenia” społeczeństwa, którą zafundował nam Łukaszenka.

Usiadłbyś z nim do okrągłego stołu, by rozmawiać o projektach tych reform?

Do momentu wypuszczenia wszystkich więźniów politycznych na pewno nie. To jest warunek jakichkolwiek rozmów. Poza tym, jedyny sens zwoływania okrągłego stołu to rozmowy o kapitulacji Łukaszenki. Póki co, okrągłego stołu nie ma, tak jak przesłanek, by Łukaszenka mógł zaproponować coś sensownego.

Dlaczego wystartowałeś w ubiegłorocznych wyborach prezydenckich? Byłeś jednym z dziesięciu kandydatów, więc musiałeś wiedzieć, że takie rozdrobnienie sprzyja Łukaszence.

Nie tylko rozdrobnienie, ale też konsolidacja opozycji nie mogły przynieść sukcesu. U nas nie ma demokratycznych wyborów, nie liczy się głosów. Celem startu tych kilku niezależnych kandydatów opozycji była mobilizacja ludzi. Mieliśmy więcej przemówień i wspólnych debat w telewizji, wysłaliśmy w teren aktywistów, którzy zbierali podpisy nie tylko dla mnie, ale też dla innych kandydatów. Gdyby był jeden kandydat opozycji, do tego bez poparcia całego środowiska, mobilizacja by się nie udała. A tak, wciągnęliśmy wielu ludzi do polityki.

Jeśli chodzi o mnie, to decydująca była rezygnacja ze startu w wyborach Aleksandra Milinkiewicza. Uznałem, że potrzebny będzie kandydat o poglądach podobnych do jego poglądów. To była też decyzja mojego zespołu.

W przyszłym roku wybory parlamentarne. Będziesz w dalszym ciągu

mobilizował aktywistów i spróbujesz wejść do parlamentu?

Jest za wcześnie na decyzję, ale wiadomo, że Łukaszenka będzie grał opozycją. Być może dopuści do Zgromadzenia Narodowego kilka osób, które jedynie będą odgrywały rolę „opozycji” na potrzeby Zachodu. KGB w czasie przesłuchań powiedziało jednemu z opozycjonistów, że po podpisaniu dokumentu o współpracy pomoże mu wejść do parlamentu. Prawdopodobnie duża część opozycyjnej sceny politycznej zbojkotuje wybory.

Łukaszenka przygotowuje „powtórkę z rozrywki”. Po poprzednich wyborach prezydenckich zamknął opozycyjnych kandydatów, między innymi Aleksandra Kazulina, a potem ich wypuścił, bo potrzebował pomocy finansowej. A w grudniu 2010 roku mieliśmy kolejne wybory...

Zachód musi być konsekwentny. Do demokratycznych wyborów żadnej pomocy finansowej, nawet za próby „handlowania” więźniami.

Tymczasem na wschodzie jest Rosja, która będzie wywierać coraz większą ekonomiczną presję, by kupić kluczowe przedsiębiorstwa państwowe Białorusi, oczywiście w „otwartej” prywatyzacji.

Trudno oskarżać Rosję o to, że pilnuje swoich interesów i chce przejąć kontrolę nad najbardziej dochodowymi przedsiębiorstwami. Tym bardziej ważne jest, aby Zachód otworzył się na prywatyzację, by Białoruś nie została pochłonięta przez Rosję. Łukaszenka będzie lawirował do końca,

ale kredyty z Moskwy otrzymuje „pod zastaw” i prędzej czy później na przykład przedsiębiorstwo przesyłu i dystrybucji gazu Białtransgaz lub białoruska rafineria państwowa będą musiały zostać przejęte przez rosyjski kapitał. Trudno sobie wyobrazić, że Łukaszenka nagle znajdzie pieniądze na oddanie długów. Rosja jest naszym lombardem, gdzie prezydent zastawia cenne przedmioty, łudząc się, że je odkupi.

Jesienią i zimą wzrośnie społeczne niezadowolenie po powrocie Białorusinów z dacz do miast i z powodu kurczenia się zapasów na zimę? Latem w dużych miastach odbywały się milczące protesty.

Białorusini nie są tak aktywni pod względem protestów, jak Gruzini czy Ukraińcy, ale cierpliwość naszego społeczeństwa też kiedyś się skończy. Przyjdzie czas, że ludzie wybuchną. Naród dojrzewa do protestów, ale nie wiem, czy nadszedł już właściwy moment.

Białorusinom na prowincji żyje się lepiej niż Rosjanom czy Ukraińcom w podobnych warunkach.

Żyło się lepiej. Teraz należy porównywać nas z Tadżykistanem i krajami Azji Centralnej. Polska prasa mnie nie wkurza, ale robię, co mogę, by tworzyć pozytywny wizerunek Białorusi.

Jakie jest twoje największe polityczne marzenie?

Chciałbym, żeby moja młodsza córka, mówiąc, że jest z Białorusi, nie wzbudzała litości u swoich kolegów i koleżanek z krajów Unii Europejskiej. Żeby była traktowana jak osoba z normalnego kraju, a nie z jakiegoś „biednego, zacofanego kołchozu”.

Byłbyś gotów objąć dziś stery białoruskiego państwa?

Tak. Myślałem o tym jako kandydat, mimo że szanse nie były największe. Ale rosną. Jestem pewien, że znajdę się w pierwszym białoruskim rządzie po Łukaszence. Nie wiem tylko, jaką funkcję będę pełnił. Nie wiem też, kiedy ten rząd powstanie, ale obserwujemy postępującą agonię reżimu. Wszystko idzie zgodnie z moimi przewidywaniami. 🇧🇪

Aleś Michalewicz jest białoruskim prawnikiem, politykiem i działaczem społecznym młodego pokolenia. Kandydował w wyborach prezydenckich jako umiarkowany krytyk Aleksandra Łukaszenki. W latach 2004-2008 był wiceprzewodniczącym opozycyjnej partii Białoruski Front Narodowy, z której został wykluczony.